

O użytku, jaki Amerykanie czynią ze stowarzyszeń

Autor: **Alexis de Tocqueville**

Autor wprowadzenia: **Sławomir Drelich**

Tekst stanowi fragment „O demokracji w Ameryce”, PIW, Warszawa 1976, s. 116–120 i został opatrzony wstępem przez Sławomira Drelicha, zaś opublikowany pierwotnie na liberte.pl

Wprowadzenie

Pytania, jakie pojawiają się w 20-lecie rozpoczęcia w Polsce procesu transformacji systemowej dotyczą z jednej strony spraw najbardziej medialnych i absorbujących, z drugiej zaś — spraw fundamentalnych i zasadniczych z punktu widzenia stanu polskiego państwa i społeczeństwa, jednakowoż nieczęsto wpływających na powierzchnię politycznego pustostłowa i zazwyczaj spoczywających na mieliźnie publicznej debaty. Do pierwszych zaliczymy: lustrację, dekomunizację, emerytury byłych funkcjonariuszy bezpieczeństwa czy upadające i nierentowne państwowe mołochy; do drugich — pytania o obywatelską aktywność, umiejętność budowania tego, co w demokracjach najwartościowsze, o wolność i jej ograniczenia.

Do postawienia jednego z pytań tej drugiej kategorii skłania nas Alexis de Tocqueville we fragmencie pochodzącym ze swojego największego dzieła zatytułowanego *O demokracji w Ameryce*. De Tocqueville pisze o specyfice amerykańskiego społeczeństwa i o tym, jak potrafi ono realizować mniejsze i większe cele społeczne z pominięciem organów państwowych i rządzących. Takim powszechnym sposobem działalności Amerykanów jest zrzeszanie się w stowarzyszeniach wszelkiego typu. Dzięki temu — zdaniem francuskiego myśliciela — udaje się Amerykanom ochronić tę sferę wolności, w którą mogłoby wkroczyć państwo ze swoją administracją. Stowarzyszanie, tworzenie oddolnych ruchów społecznych i aktywizowanie ludzi o wspólnych celach i dążeniach każe więc nam autor *O demokracji w Ameryce* potraktować jako najlepszy sposób

realizacji wspólnych interesów, ale również jako metodę na uchronienie się przed rozrostem państwa demokratycznego i jego przeobrażeniem się w nową tyranię.

Stowarzyszanie się ma być również sposobem przewyciężenia tego, co w największym stopniu różni społeczeństwa demokratyczne od arystokratycznych: postępującego osamotnienia i izolowania się jednostek. Indywidualizm, rozpad bądź wręcz zanik więzi społecznych, konkurencja wolnorynkowa, pogoń za dobrobytem, egoizm i egocentryzm sprawiają — zdaniem de Tocqueville’a — że człowiek w społeczeństwie demokratycznym przestaje się interesować życiem społecznym, nie ma czasu na uczestnictwo w nim, zanika w nim pęd wspólnotowy i potrzeba współpracy z innymi ludźmi. Skrajny indywidualizm jednak nie pozwala na realizację wszystkich jednostkowych zamierzeń, człowiek bowiem w pojedynkę nie jest zdolny do sfinalizowania wielu przedsięwzięć, co — niczym swoista broń obosieczna — każe zwrócić się jemu do państwa — państwa, które ma pomóc mu w tych dążeniach, które ma zapewnić mu dobrobyt i sukces. Człowiek odwraca się od społeczeństwa, lokalnych wspólnot i wspólnot interesów, ale zostaje zmuszony, by dobrowolnie (sic!) oddać się pod opiekę aparatu państwa, rozrastającego się i rozbudowującego swoje struktury.

I tutaj dostrzegamy, dlaczego de Tocqueville'owi tak bardzo zaimponowali Amerykanie. Dostrzegł, że znaleźli oni sposób na przezwycięzenie tego nowego despotyzmu, bez konieczności odwracania się w kierunku przeszłości, bez reakcjonistycznych nawoływań i płacziwo-sentymentalnej tęsknoty za tym, do czego przecież już nie da się wrócić (przeddemokratyczny, arystokratyczny świat wszak bezpowrotnie przeminął). Tym sposobem ma być umacnianie poczucia wspólnotowości poprzez oddolne tworzenie stowarzyszeń, związków, towarzystw i ruchów. Także w kontekście refleksji o Polsce ostatnich 20 lat, należałoby chyba przypomnieć właśnie o tym wątku. Raporty niektórych stowarzyszeń badających uczestnictwo Polaków w organizacjach pozarządowych wskazują, że z roku na rok nowych organizacji tworzy się coraz mniej, a Polacy nadal nie garną się do szerszego w nich uczestnictwa. Może to problem bardziej istotny niż to, ile butelek wina wypił prezydent.

Rozdział V

O UŻYTKU, JAKI W ŻYCIU SPOŁECZNYM AMERYKANIE CZYNIĄ ZE STOWARZYSZEŃ

Nie mam zamiaru mówić tu o stowarzyszeniach politycznych, za pomocą których ludzie bronią się przed despotyzmem większości bądź przed roszczeniami władzy królewskiej. Temat ten poruszałem już wcześniej. Jest rzeczą jasną, że gdyby w miarę osłabiania się indywidualnego znaczenia obywateli, a w konsekwencji i ich zdolności do samodzielnej ochrony własnej wolności, każdy z nich nie uczył się sprzymierzać w tym samym celu z bliźnimi, tyrania wzrastałaby nieuchronnie wraz z równością. Zajmę się tutaj wyłącznie stowarzyszeniami społecznymi, których cele nie mają nic wspólnego z polityką.

Stowarzyszenia polityczne stanowią jedynie część ogromnego systemu stowarzyszeń wszelkiego rodzaju istniejących w Stanach Zjednoczonych.

Niezależnie od wieku, pozycji i poziomu umysłowego Amerykanie nieustannie się stowarzyszają. Mają nie tylko towarzystwa handlowe i przemysłowe, do których należą wszyscy, ale również mnóstwo innych: istnieją stowarzyszenia religijne i moralne, stowarzyszenia o poważnym i błahym charakterze, stowarzyszenia zajmujące się ogólnymi i bardzo szczegółowymi sprawami, stowarzyszenia wielkie i małe. Amerykanie stowarzyszają się w celu organizowania zabaw, tworzenia seminariów, budowania zajazdów, wznoszenia

kościółów, rozpowszechniania książek, wysyłania misjonarzy na antypody. W ten właśnie sposób zakłada się w Ameryce szpitale, więzienia, szkoły. Amerykanie stowarzyszają się również i po to, by głosić jakąś prawdę lub przez dostarczenie przykładu rozwijać w społeczeństwie jakieś uczucia. Wszędzie tam, gdzie na czele jakiegoś przedsięwzięcia ujrzyicie we Francji rząd, a w Anglii wielkiego pana, w Stanach Zjednoczonych spodziewajcie się ujrzeć stowarzyszenie.

Przyznam, że spotkałem w Ameryce stowarzyszenia, jakich istnienia nie podejrzewałem, i częstokroć przyszło mi podziwiać niezwykłą sztukę, z jaką mieszkańcom Stanów Zjednoczonych udawało się skupić wielu ludzi wokół jednego celu i sprawić przy tym, by dążyli doń dobrowolnie.

Przebywałem później w Anglii, skąd Amerykanie zapożyczyli niektóre prawa oraz liczne zwyczaje, i wydawało mi się, że Anglikom daleko jest do tak powszechnego i umiejętnego wykorzystywania stowarzyszeń.

Anglikom często zdarza się dokonywać indywidualnie rzeczy wielkich. Tymczasem w Ameryce nie masz tak niewielkiego przedsięwzięcia, dla którego ludzie nie założyliby stowarzyszenia. Anglicy uważają stowarzyszenia za skuteczny środek działania, Amerykanie wydają się widzieć w nich jedyny środek, jaki istnieje.

W ten sposób najbardziej demokratycznym krajem na świecie okazuje się ten, w którym ludzie najbardziej udoskonalili sztukę zbiorowego dążenia do celu wspólnych pragnień i tę nowo powstałą wiedzę stosują najczęściej. Czy należy to traktować jako zjawisko przypadkowe, czy też trzeba uznać, że między instytucją stowarzyszeń a równością istnieje konieczny związek?

Spółcześnieństwa arystokratyczne składają się z ogromnej liczby ludzi, którzy sami nie mogą nic, oraz z niewielu obywateli posiadających wielkie znaczenie i majątki, obywateli, z których każdy zdolny jest dokonywać wielkich przedsięwzięć.

W społeczeństwach arystokratycznych ludzie nie muszą jednoczyć się dla działania, ponieważ są mocno ze sobą związani.

Każdy bogaty i potężny obywatel stoi tam na czele czegoś w rodzaju stałego i przymusowego stowarzyszenia, składającego się ze wszystkich zależnych odeń ludzi, których zmusza on do współdziałania w wykonywaniu swoich zamiarów.

W społeczeństwach demokratycznych natomiast wszyscy obywatele są niezależni i słabi; sami nie mogą dokonywać prawie niczego, a żaden z nich nie jest w stanie zmusić innych do współdziałania. Wszyscy są więc bezradni, jeśli nie nauczą się pomagać sobie dobrowolnie.

Gdyby ludzie żyjący w demokratycznym kraju nie mieli ani prawa, ani ochoty do jednoczenia się w celach politycznych, ich niezależność narażona byłaby na wielkie ryzyko, ale mogliby długo zachować swój majątek i wykształcenie. Gdyby zaś nie mieli nawyku stowarzyszania się w celach społecznych, w niebezpieczeństwie znalazłaby się sama cywilizacja. Społeczeństwo, w którym ludzie straciłoby możliwość indywidualnego dokonywania wielkich rzeczy, nie zyskując możliwości osiągnięcia ich wysiłkiem zbiorowym, szybko powróciłoby do stanu barbarzyństwa.

Niestety, ten sam układ społeczny, który sprawia, że społeczeństwom demokratycznym tak potrzebne są stowarzyszenia, utrudnia jednocześnie ich powstawanie.

Kiedy kilku arystokratów pragnie się stowarzyszyć, przychodzi im to bez trudu. Ponieważ każdy z nich udziela towarzystwu potężnej siły, liczba stowarzyszonych może być bardzo niewielka, skoro zaś stowarzyszeni są nieliczni, łatwo mogą poznać się, rozumieć i przyjąć wspólne zasady działania.

W społeczeństwie demokratycznym nie jest to tak łatwe, ponieważ stowarzyszenie, aby miało tutaj jakiegokolwiek znaczenie, musi gromadzić bardzo wiele osób.

Wiem, że wielu moich współczesnych nie zważa na tę trudność. Sądzą oni, że kiedy obywatele stają się słabi i bezradni, rząd musi być zręczniejszy i aktywniejszy, by społeczeństwo robiło to, czego pojedynczy obywatele dokonać już nie potrafią. To stwierdzając, uważają sprawę za rozwiązaną. Ja jednak sądzę, że się mylą.

Rząd mógłby w Ameryce zastąpić niektóre wielkie stowarzyszenia i w poszczególnych stanach podjęto już takie próby. Lecz jakaż władza polityczna mogłaby kiedykolwiek ogarnąć nieprzebraną liczbę małych przedsięwzięć, które obywatele amerykańscy podejmują nieustannie za pomocą stowarzyszeń?

Łatwo powiedzieć, że zbliżają się czasy, kiedy człowiek nie będzie w stanie samodzielnie wytwarzać najzwyklejszych i niezbędnych do życia przedmiotów. Zadania władzy społecznej zwiększą się więc ogromnie i będą z każdym dniem

nadawały jej większe znaczenie. Im skuteczniej władza będzie zastępowała stowarzyszenia, tym bardziej poszczególni ludzie, tracąc nawyk stowarzyszania się, będą potrzebowali jej pomocy, i tak zamknie się łańcuch przyczyn i skutków. Czy dojdzie do tego, że administracja publiczna będzie kierowała wszystkimi przedsięwzięciami, z którymi pojedynczy obywatel nie będzie mógł sobie poradzić? I, jeżeli nadejdzie czas, że w konsekwencji podziału własności ziemskiej grunty zostaną tak rozdrobnione, że będą mogły je uprawiać jedynie stowarzyszenia rolników, to czy szef rządu będzie musiał porzucić ster państwa, by stanąć za pługiem?

Gdyby rząd we wszystkim zastąpił stowarzyszenia, moralność i poziom umysłowy demokratycznego, społeczeństwa narażone zostałyby na nie mniejsze ryzyko niż jego handel i przemysł.

Tylko w wyniku wzajemnego oddziaływania ludzi na siebie rozwijają się uczucia i idee, rośnie serce i rozkwita umysł człowieka.

Mówiłem o tym, że w krajach demokratycznych to oddziaływanie właściwie nie istnieje. Trzeba więc sztucznie je stworzyć, a tego mogą dokonać tylko stowarzyszenia.

Kiedy arystokraci przyswajają sobie nowe idee lub uczucia, umieszczają je poniekąd na wielkiej scenie, na której sami się ukazują, i wystawiając je w ten sposób na widok tłumu, bez trudu zaszczepiają w umysłach i sercach ludzi.

W krajach demokratycznych tylko władza społeczna jest w stanie działać w podobny sposób, ale jej działanie jest zawsze niewystarczające i często niebezpieczne.

Rząd nie zdoła samodzielnie podtrzymać i odnawiać obiegu uczuć i idei w wielkim społeczeństwie, tak jak nie jest w stanie brać na siebie wszystkich przedsięwzięć przemysłowych. Jeżeli wkroczy w tę dziedzinę rzeczywistości, wkrótce narzuci społeczeństwu nieznośną tyranję. Dzieje się tak dlatego, że rząd potrafi dyktować jedynie ściśle określone zasady — narzuca więc uczucia i idee, które faworyzuje, i wtedy niełatwo jest odróżnić jego rady od rozporządzeń.

Gorzej, jeżeli uważa, że w jego interesie jest, by wszystko stało w miejscu. Sam będzie trwał wówczas w bezruchu i pograży się w dobrowolnej senności.

Jest więc niezbędne, by nie działał sam.

W społeczeństwach demokratycznych właśnie stowarzyszenia winny zająć miejsce potężnych jednostek, które przestały istnieć wraz z nastaniem równości.

Skoro tylko jakąś grupę mieszkańców Stanów Zjednoczonych opanuje uczucie lub idea, którą pragną rozpowszechnić, zaczynają poszukiwać się nawzajem, a znalazłszy jednoczą się. Odtąd nie są już oddzielnymi ludźmi, ale widoczna siła, której działalność służy jako przykład, siła, która przemawia i której się słucho.

Kiedy pierwszy raz usłyszałem w Stanach Zjednoczonych, że sto tysięcy ludzi publicznie zobowiązało się, że nie będą używać alkoholu, rzecz wydała mi się raczej zabawna i nie mogłem z początku zrozumieć, dlaczego ci tak wstrzemięźliwi obywatele nie zadowolili się po prostu pić wody we własnym domowym zaciszu.

W końcu pojąłem, że sto tysięcy Amerykanów, zaniepokojonych wokół pijaństwem, postanowiło dać przykład abstynencji. Działali dokładnie tak samo jak wielki pan, który ubierałby się bardzo skromnie, aby wpoić prostym obywatelom pogardę dla luksusu. Można przypuszczać, że gdyby te sto tysięcy ludzi żyło we Francji, każdy z nich osobno zwróciłby się do rządu z prośbą o sprawowanie nadzoru nad karczmami na terenie całego królestwa.

Zdaniem moim nie istnieje nic, co zasługiwałoby na większą uwagę z naszej strony niż intelektualne i moralne stowarzyszenia w Ameryce. Amerykańskie towarzystwa polityczne i przemysłowe są dla nas zrozumiałe; innych jednak nie możemy pojąć. Kiedy zetkniemy się z jednym z nich, nie umiemy zrozumieć jego sensu, ponieważ nigdy przedtem nie widzieliśmy niczego, co by je przypominało. Tymczasem dla społeczeństwa amerykańskiego są one równie ważne jak te pierwsze, a może nawet ważniejsze.

W krajach demokratycznych umiejętność stowarzyszania się jest umiejętnością podstawową — od niej zależą postępy wszystkich innych.

Pośród praw rządzących ludzkimi społeczeństwami istnieje takie, które wydaje mi się bardziej wyraźne i jasne niż wszystkie inne. Głosi ono, że po to, by ludzie pozostali cywilizowani lub by się tacy stali, sztuka stowarzyszania się musi rozwijać się i doskonalić wśród nich jednocześnie ze wzrastaniem równości możliwości.